

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Począwszy od 1861 roku, przyrodnicy wszelkich narodowości rozpoczęli systemacznie badać dno morskie na rozma-

tych obszarach, a zabiegi ich wkrótce uwieńczone zostały świetną nagrodą, wydobywali bowiem z dna morskiego tłumy nieznanych dotąd zwierząt, a zoologii przybywały wciąż nowe gatunki.

Uczeni skandynawscy pierwsi weszli na tę nową drogę badań. Już w 1853 roku Absjorn Absjornssen, poeta a zarazem przyrodnik norweski, wydobył z głębiny 360 metrowej prześliczną nową gwiazdę morską, którą nazwał *Brisinga*. Później znajdowano tę gwiazdę w Atlantyku i morzu Śródziemnym, a za każdym razem wprawiała ona w zachwyt przyrodników, którzy byli obecni przy jej wydobywaniu z morza. Byli tak uderzeni pięknnością owej gwiazdy morskiej, iż wyczerpali dla niej listę wszelkich nazw poetycznych.

Następnie kilku innych wybitnych przyrodników poświęciło się badaniom nad zwierzętami, żyjącymi na dnie morza u wybrzeży Norwegii, a chociaż badania te były prowadzone na niewielkim obszarze oceanu, jednakże obfite były w rezultaty, dowiodły one:

Po pierwsze, że w głębinach morskich żyje wiele zwierząt;

Po wtóre, że to są gatunki odmienne od tych, które żyją u wybrzeży;

Po trzecie, między zwierzętami głębinowymi odkryto takie, o których myślano, że już dawno wyginęły, gdyż znajdowano je dawniej tylko między wykopalinami.

Zdobycze naukowe skandynawskie zrobiły wiele rozgłosu w świecie uczonych i zachęciły do rozpoczęcia podobnych badań w innych krajach. W Anglii dwaj profesorowie, Wyville Thomson i William Carpenter, powzięli śmiały zamiar systematycznego badania wielkich głębin oceanu. Dzięki swym staraniom otrzymali od rządu stary statek wojenny *Lightning* (Błyskawica), który nie był już zdatny do użytku wojennego; niedługo też służył i nauce.

Lightning opuścił port Pembroke 4 sierpnia 1868 roku. Prace tej pierwszej wyprawy polegały na eksplorowaniu głębin morskich, leżących między Szkocją a wyspami Faroerskimi. Po upływie sześciu tygodni statek musiał zawinąć do portu, gdyż wskutek starości nie mógł już dłużej opierać się złej pogodzie. Atoli rezultaty tej pierwszej wyprawy naukowej były nader pomyślne. Potwierdzono dawne odkrycie Brooke'a, że dno Atlantyku istotnie pokryte jest drobnymi zwierzętami, a wśród tego mułu

kryły się gąbki krzemionkowe o przesłicznym kryształowym szkielecie.

Podczas wyprawy *Lightninga* wykryto również, że dno morza bynajmniej nie posiada stałej i jednakowej wszędzie temperatury 4° stopni, jak to sobie przedstawiano przy porównaniu morskiej wody z wodą słodką. Okazało się bowiem, że w głębinach, mających około 1500 metrów, temperatura wody miewać może od +6° do -1°, 5 stopni *). Widać z tego, że w głębokich obszarach wodnych obok prądów ciepłej niemal wody, mogą przebiegać zimne prądy.

Nie powinno nas to dziwić również, że przy -1°, 5 stopni woda morska nie zamarza, chociaż wiemy, że woda w rzekach marznie już przy 0° stopni. Fizyk francuski Depretz wykrył już oddawna, że słona woda, a zwłaszcza woda morska, utrzymuje się w stanie płynnym przy temperaturze znacznie niższej niż woda słodka. W morzu najgłębiej leżące warstwy wodne są najzimniejsze, a temperatura ich w morzach podbiegunowych spadać może niżej zera.

Tak więc wyprawa *Lightninga* zupełnie się powiodła i to skłoniło rząd angielski do wydania przyzwolenia na nową wyprawę. I oto 18 maja 1869 r. komisya angielska pod przewodnictwem Gwyn Jeffreys'a wyjechała na okręcie *Porcupine*. Tym razem był to okręt odpowiedni do podróży naukowej, zaopatrzony w dokładne przyrządy, niezbędne przy badaniach dna morskiego.

Tegoż lata *Porcupine* odbyła aż trzy podróże; podczas pierwszej sondowano morze u wybrzeży Irlandyi. Komisya zamierzyła nietylko przekonać się, czy dno morskie jest zaludnione, ale prócz tego zbadać, jak żyją zwierzęta w głębinach. Należało tedy poznać chemiczny skład wody morskiej, to jest określić ilość gazów i soli w niej rozpuszczonych, oraz poznać dokładnie temperaturę głębin. Dla tego też oprócz zoologów w wyprawie tej wzięli udział fizycy i chemicy.

Podczas pierwszej podróży *Porcupina* największa głębia, do której sieć (*dragę*) spuszczone, miało 2247 metrów. Wszędzie znaleziono nader obfitą faunę, zwłaszcza mnóstwo otwornic i mięczaków.

Wówczas Wywille Thomson postanowił zrobić decydujące doświadczenie i wykonać połów w najgłębszych miejscach tej części Atlantyku. Była to druga podróż *Porcupina* 22 czerwca; śmiało spuszczone sieć na 4465 metrów głębokości, na środku Atlantyku, naprzeciwko Bretanii, sieć ciągnięto przez 11 kilometrów, i po siedmiu godzinach wyciągnięto ją na pokład okrętu. Sieć zawierała wiele mułu oraz mnóstwo zwierząt kręgowych, należących do rozmaitych grup zwierzęcych.

Ostatecznie tedy zdecydowano, że wielkie głębie morskie są zamieszkałe i że nie istnieje żaden kres, powstrzymujący rozpowszechnianie się życia aż do najciemniejszych otchłani.

Podczas trzeciej podróży okręt *Porcupine* udał się do wysp Farøer, aby za pomocą udoskonalonych narzędzi sprawdzić te wiadomości jakie przywiózł *Lightnig*. Mierzono temperaturę głębokich warstw wody i znaleziono prawie to samo co poprzednio. Napotkano prądy wody, mające temperaturę 9° do 10° stopni, a obok nich prądy zimne o temperaturze 0° do 2° stopni. Te ciepłe i zimne prądy biegły obok siebie, nie mieszając się bynajmniej, jak gdyby dzieliła je jakaś niewidzialna ściana.

(d. c. n.)

*) + 6° znaczy 6 stopni ciepła, — 1° 5 znaczy półtora stopnia zimna.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

A pan Opaliński szepnął mu na ucho:

— Nie bądź taki krewki i nie rób burdy w przytomności jego królewiczowskiej mości, bo się możesz na areszt o chlebie i wodzie, a nawet i dyby narazić.

Królewicz zaś spostrzegłszy, że pan Opaliński coś szepcze Kazikowi i domyśliwszy się admonicyi, boć chociaż młodzieńczyk, obeznany był z dworskimi obyczajami, przystąpił zaraz, a podnosząc głowę, zawołał:

— Mości ochmistrzu, daruj winę Niedźwiedziowi, on chciał mnie obronić!

Pan Opaliński się uśmiechnął, skinął głową i rzekł:

Pójdziemy się ubierać i w drogę!

I dał znak, ażeby się wszyscy rozeszli, a wskazując ręką przyboczną komnatę, przynaglał Zygmunta, aby szedł co prędzej i sam za nim tuż postępował.

Mimo wszelkiego pośpiechu, świt zimowy zaglądał do zamarzniętych wąskich okien zamkowych, nim ochmistrz wraz z królewiczem wyszli z sypialni.

Pan Ignacy występując w roli gospodarza, nie chciał krewniakowi swemu i panu despektu uczynić, a dom kasztelana zakroczymskiego brakiem gościnności zozydzić, kazał więc sute zastawić śniadanie.

Nie brakło ani polewki z piwa gęsto serem i jajami zaprawnej, i placka makiem przewijanego, i kaczkki jałowcem nadziewanej, owoców i orzechów w miodzie osmażanych i wielu innych przysmaków.

Pan Opaliński niechętnie na ten poczęstunek przystawał, nie mógł jednakże odmówić, ani serdecznemu zaproszeniu marszałka zakroczymskiego zamku, ani też prośbom królewicza, któremu pobyt w gościnnym domu, wśród serdecznego otoczenia działwy bardzo zasmakował.

Lecz gdy Zygmunt wszedł do jadalnej komnaty i przy blasku kominkowego ognia, walczącego o lepsze z zaglądnącym do okien światłem dnia, rozejrzał się po niej, zaraz zapytał:

— Czemu niema Jadwisi i Anusi?

— Mości ochmistrzu, pozwól niech przyjdą! — dodał swym dźwięcznym, dziecięcym głosem, zwracając się do pana Piotra.

Ale nim ten zdążył odpowiedzieć, siniora Alenini przybiegła do królewicza, i wiążąc mu pięknie wyszywaną serwetę pod brodą, rzekła:

— Nie można, nie można!

— Jestem pod opieką pana kasztelana gnieźnińskiego, mego ochmistrza — odparł z kwaśną miną Zygmunt!

I spojrział błagalnie na pana Piotra.

W tej chwili pan Ignacy przystąpił i z niskim ukłonem zapytał:

— Jaśnie wielmożne kasztelanki zapytują, czy mogą pożegnać jego królewiczowską mość.

— Ach, niech przyjdą, niech przyjdą! — zawołał, klaszcząc w dłonie Zygmunt.

Nie było więc rady, trzeba było uleść dobremu z natury, lecz rozpieszczonemu i samowolnemu dziecku.

— Pójdźcie, pójdźcie! — wołał na kłaniające mu się ode drzwi wystrojone przez panią Antoniovą, jak przystało, dziewczynki, i siadając sam przy stole, zawołał:

— Jadwisia po jednej, Anusia po drugiej stronie.

Siadł też zaraz pan Opaliński, ażeby zwracać uwagę na zachowanie się królewicza przy jedzeniu, naprzeciwko unieściła się siniora, ażeby znowu każdy ruch swego wychowanka obserwować.

— A gdzie Niedźwiedź? — zapytał Zygmunt — przecież to mój dworzanin, powinien mi usługiwać.

Na ten rozkaz, Kazik stanął za stołkiem swego młodego pana.

Królewicz z wielkim apetytem spożywał podawane mu przysmaki, nie zwracając uwagi na wykrzywanie się siniory, która prawie nic nie jadła.

Dopiero kiedy wniesiono jajecznicę z kiełbasą, małe jej czarne oczki zabłysły radością i wdzięcznie zawołała:

— La frittata!

I nałożywszy ilość wielką na talerz, raczyła się z wielką chciwością ulubionym przysmakiem.

Wreszcie zajęchała królewska kolasa, stanął zadowolony z gościnnego przyjęcia poczet, a królewicz ubierając się w ciepłe futerko, które trzymał Kazik, zapytał:

— A ty Niedźwiedziu, czemu nie jesteś gotów?

Kazik zaczerwienił się po uszy i nie wiedział co odpowiedzieć; wyręczył go pan Opaliński:

— Bez pozwolenia najjaśniejszego pana, króla i ojca, nie wolno nam nikogo do swego dworu przyjmować.

— I bez pozwolenia matki królowej — dodała siniora.

— A też i Kazik nie może domu opuszczać bez zezwolenia jaśnie wielmożnego kasztelana zakroczymskiego, a swego stryja — rzekł układnie, stojący na uboczu pan Ignacy.

— Ale wy przyjedziecie do Krakowa? — zapytał królewicz, zwracając się do chłopców. A potem dodał.

— A jak przyjedziecie, przyjdźcie do mnie, będziemy się bawili.

I podbiegłszy do kasztelanek, pocałował każdą z nich w zarumienione, jak róże policzki, Anusia jednak nie straciła rezonu, lecz dygnawszy, rzekła:

— Naładowałam tutaj pierniczków, weź to na drogę!

Pani Antoniowa za to nieprawidłowe wyrażenie się dziewczynki, skarciła ją wzrokiem, lecz Anusia jakkolwiek nieco się zawstydzila, podała jednak Zygmuntowi duże pudełko lubowe, które zaraz siniora z rąk jego pochwyciła.

— Tylko niech siniora sama nie zje — zaśmiał się królewicz.

I nagłony przez pana Piotra wyszedł na podsienie, a gdy go wreszcie usadzono w kolasię i owijano nogi futrem, Zygmunt zawołał:

— To skóra Niedźwiedzia, a w czym on będzie teraz chodził! A potem dodał:

— Przyślę ja wkrótce po ciebie!

III.

— Do porządku, do porządku! — nawoływał pan Ignacy gwarzących o królewicu i całym jego otoczeniu dworzan.

— Do porządku! — wołała pani Antoniowa. Bo chociaż dwór niewieści nie widział dostojnego gościa, chętnie jednak o nim i jego otoczeniu gawędził. Przypominano więc sobie rozmaite szczegóły z toalety siniory i dwóch jej służebnic; powtarzano odzywianie się siniory po polsku, w przekręcony sposób i bawiono się, naśladując jej ruchy. Powtarzano też i wyrażenia włoskie, nie rozumiejąc ich zgoła, przekręcając w najśmieszniejszy sposób.

Zapamiętano najlepiej „la frittata”, bo chłopiec pokojowy przyniósł to wyrażenie do kredensu i z właściwym gestem pokazywał, jak sobie nałożyła na talerz i mrugając oczami chciwie zajadała.

„La frittata” z kredensu poszła do kuchni, a ktokolwiek co jadł, zaraz wołano:

„La frittata”! Inni przekręcali na *frikata*, w końcu powtarzano frykasa, aż się powoli utworzył frykas!

O małpcę też opowiadano najpociesniejszą rzecz. Ci co ją widzieli, czuli się w obowiązku od siebie jeszcze coś dodać o ruchach i skokach, których Bartholo nigdy nie wykonywał ani też mógł wykonać.

Doszło nawet do tego, iż mówiono, że małpka nie tylko naśladowała ruchy ludzi, ale nawet powtarzała wyrazy, przekręcając je po swojemu,

— Iście jak siniora! — dodawano.

Tylko stróż kręcił głową i z niedowierzaniem przysłuchiwał się opowiadaniu, mrużąc od czasu do czasu:

— Juści, małpka! Te zamorskie ludzkie tak umieją otumanic człowieka, że widzi jeno to, co mu każą... Ale ja nie taki jako inni, i wiem, co to był sam dyabeł!

Wśród tych opowiadań każdy stał z założonymi rękami, a przygotowania na imieniny jaśnie wielmożnego kasztelana, przerwane przybyciem niespodziewanych gości, i teraz po ich odejździe nie bardzo postępowały. Kucharz nawet i pasztetnik wraz z całym zastępem pomocników woleli słuchać opowiadania, co się działo ubiegłego wieczora i nocy w pokojach, niż piec i warzyć przysmaki dla mających przybyć gości. Nie więc dziwnego, że pan Ignacy i pani Antoniowa, biegali teraz nawołując dwór cały do porządku. Każde z nich podwajało czujności, ażeby wynagrodzić czas stracony, bo jakkolwiek gość swym dostojenstwem honor przynosił ich chlebobodawcom, niemniej jednak nie w porę im przybył. Krzątał się też niepomału i pan Sulpicyusz i zaraz po odejździe królewicza, wziął się do porządkowania wielkiej komnaty, w czem mu dopomagał z całą sumiennością zamyślony, i niezwykłe spoważniały Kazik, który na ten raz o swych figlach zapomniał. Nic więc dziwnego, że wśród przygotowań i zdwojonej krętaniny, nie spostrzeżono nawet, gdy około południa kolebka na saniach, wioząca jaśnie wielmożnego kasztelana i jego małżonkę, wjechała w podwórzec.

— Państwo jadą! państwo jadą! — podawano sobie z ust do ust, zwiększając gorliwość w robocie.

— Dobrze, że już wszystko mam w pogotowiu — rzekł pan Sulpicyusz, przybijając ostatni wieniec spleciony z świerkowych gałęzi.

— Teraz moich synków trzeba do reszty przygotować — dodał. I poszedł chyłkiem do oficyny, gdzie zastał już wszystkich swoich podwładnych, strojących instrumenta lub ćwiczących się w swojej sztuce.

Tymczasem dwór zakipiał znów gwarem i ruchem.

Gdy zaś podano obiad, do którego wraz z państwem siadały zwykle dzieci, Kazik, oraz ochmistrzyni i pan Ignacy, zaczęło się dopiero opowiadanie.

Dzieci, mimo całej karności, szczebiotały jedno przez drugie, nie zważając nawet na znaki dawane przez ochmistrzynią.

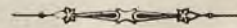
— Zaprosił nas do Krakowa — wołał Piotruś.

— Powiedział, żebyśmy zaraz do niego przyszli, gdy przyjedziemy — dodał Marcin.

— Ho, ho, toż to musi być miasto! — westchnął Jędrus.

— Dałam mu na drogę pełne łubko pierników — szczebiotała Anusia.

(d. c. n.)



Ile zjemy i wypijemy w ciągu naszego życia?

Pismo przyrodnicze *Wszelch świat* w ostatnim numerze przedstawiło w bardzo widoczny i zajmujący sposób, ile zjemy i wypijemy w ciągu całego naszego życia, jeżeli mamy zdrowy żołądek i Bóg nam pozwoli dożyć do lat 70. Zgroza ogarnia nas i zdumienie, gdy spoglądamy na ilości pokarmów wyobrażone na rycinach — i wierzyć nam się nie chce, że to prawda; ale statystyka, opierając się na obliczeniach przeciętnych, nie kłamie. Chleba naprzykład zjada człowiek dziennie funt, nie licząc różnego rodzaju ciast z mąki wyrobionych. W pierwszych 10-ciu latach życia zostawia część swego funta innym, ale potem wynagradza to sobie tak, że w ciągu całego życia spożywa 255 centnarów chleba. Gdyby tę ilość zebrać w jedną bryłę, do pomieszczenia jej byłby potrzebny pokój, zajmujący blisko 400 m. przestrzeni, a bryła owa przedstawiłaby się w stosunku do człowieka, jak na r

sunku. Niewiele mniejszą ilość zjadamy kartofli, a co do jarzyn, to ziarenka grochu nie pomieściłyby się w strączku mającym przeszło milę długości. Ilość marchwi jest trzy razy większą od rosnącego osła; sałatą moglibyśmy zasłać posadzkę domu siedmiopiętrowego, nie mówiąc już o kapuście. Wół przedstawiony na rysunku, wyobraża ilość zjedanego przez

binie, żeby dać w przybliżeniu pojęcie o ilości tego co wypijamy, a co ma dochodzić do 51,100 litrów. Wiadomo zaś, że litr jest więcej niż kwarta. Ogólna zaś ilość pokarmów spożywanych łącznie z napojami, wyobrażona jest tutaj przez olbrzyma, przy którym stojący człowiek nie dosięga mu nawet do kostek. Znajdujemy we Wszechświecie jeszcze olbrzymi papieros i cygaro — ale że czytelnicy i czytelniczki należą do niepalących, więc rysunków tych nie podajemy.

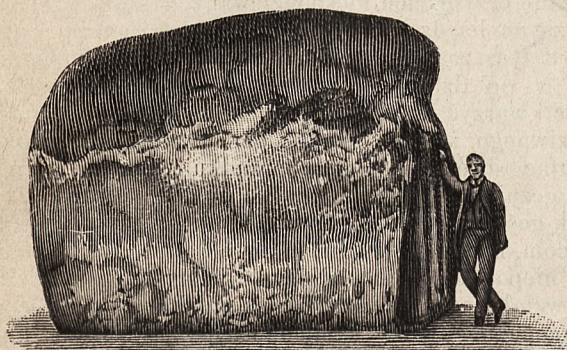


Fig. 1. Chleb spożyty w ciągu życia i porównany z tym który go spożył.

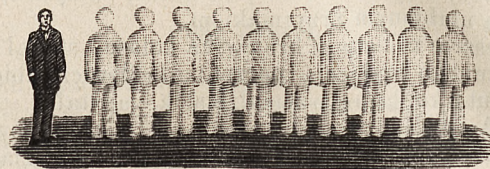


Fig. 4. Dziesięć posągów wyobrażających ilość soli spożytej w ciągu życia w porównaniu do wielkości człowieka.



Fig. 2. Ziemiak — olbrzym.

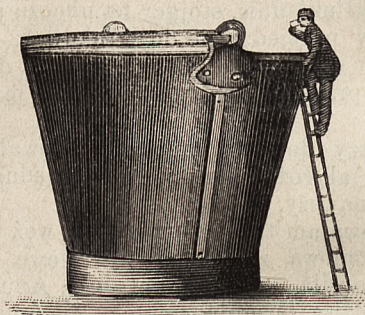


Fig. 5. Ceber, który zawierałby ilość płynu wypitego w ciągu życia.

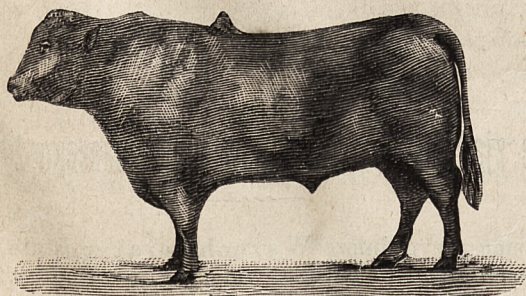


Fig. 3. Wół zjedzony w ciągu lat 70. Dziecko siedzące na nim wyobraża stosunek człowieka do ilości spożytego mięsa.

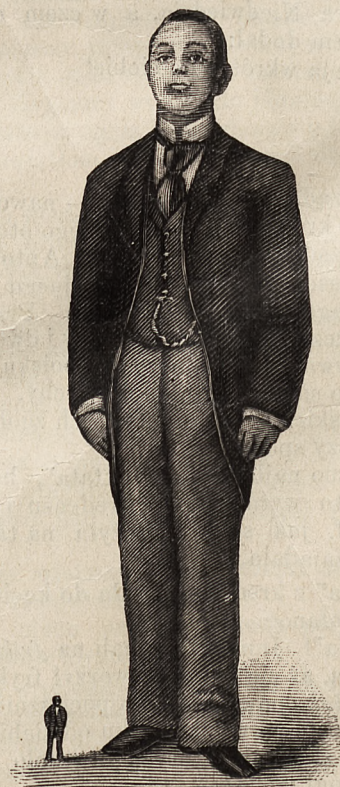


Fig. 6. W ciągu lat 70 człowiek zdrowy zjada i wypija 1280 razy swoją objętość.

mięsa, a dla lepszego uwydatnienia stosunku jego do człowieka, narysowano na nim siedzące małe dziecko. Kto zjada dziennie tylko po 2 jaja, spożyje ich w ciągu życia 43,800. Aby to wszystko osolić, używamy dziesięć razy większej ilości tej cennej przyprawy, niż objętość naszego ciała. A cukier, owoce, masło, ser! Co do napojów, to trzeba było narysować olbrzymi ceber, na który się wchodzi po dra-



Wnętrze groty „Armand” w dep. Lozère we Francji.

GROTY STALAGMITOWE.

Do zjawisk niezmiernie ciekawych pod względem geologicznym, oraz malowniczych dla oka, należą bezwątpienia owe jaskinie i groty podziemne, zdobne w kamienne sople, zwieszające się u stropu, lub wznoszące się od spodu, niby kolumny o różnorodnych kształtach, które z grecka stalagmitami i stalaktytami zowią. To też jeżeli podróżni narażają

się nieraz na znaczne trudy, by zwiedzić te miejsca, do których przystęp najczęściej bardzo jest przykry, samo poznanie warunków, w jakich te cuda przyrody powstały, budzi także zajęcie.

Jak to badania uczonych wykazały, próżnie takie, czyli groty, znajdujące w skałach wapiennych, utworzyły się bądź w skutek powolnego wmywania przez podziemne źródła, bądź też przy gwałtownych wstrząśnieniach wulkanicznych.

Przeziąkająca z zewnątrz w znacznej ilości wilgoć, zabrawszy z ziemi kwas węglowy, rozpuszcza z jego pomo-

ą wapien skalny, (który już w tym stanie dwuwęglanem wapienia się zowie) i obciążona nim osiada na ścianach groty, rzeważnie zaś u sklepienia, skąd kroplami spływa. Wilgoć ę podsyca często parowanie wód, czy to strumieni czy jezior, i które podziemia takie obfitują.

Lecz w zetknięciu z powietrzem kwas węglowy ulatnia się z roztworu, a pojedynczy już znowu węglan wapna sadza się powolnie i układa w prawidłowe kryształy, tworząc ajpierw pierścienie, wydłużające się z biegiem czasu w sople zyli stalaktyty, mające wiele podobieństwa do tych, jakie wytwarzają się zimą ze zmarzniętej wody, na brzegach dachów.

Z końców tych sopli, spadają wreszcie na dno pieczary rople, których zawartość wapienna nie zupełnie została zużyta na ich pogrubienie i wydłużenie. Więc znowu ten wapień tworzy na dnie groty pierścienie wyrastające powoli i pieńki prostopadłe, stalagmitami zwane. Nacieki te po wielu latach narastając ciągle, łączą się niekiedy z soplami wiszącymi u stropu jaskini, tworząc wysmukłe słupy i kolumny.

Powstałe w ten sposób bryły skryształizowanego wapienia bywają albo przejrzystej niemal białości, albo też lekko ółto lub różowo zabarwione, w kształtach zaś swych niewykle pięknie urozmaicone, często potężne i wspaniałe

Ponieważ groty takie, jak już wyżej wspomniano, leżą kryte głęboko w skałach, z trudnym najczęściej przystępem, dkrzyce ich przeważnie zawdzięczamy wypadkowi. Mimo ego nie należą już one do osobliwości, mianowicie w górztych wapiennych okolicach.

Do najpiękniejszych i najbogatszych w fantastyczne kształty stalaktytów i stalagmitów, zaliczyć trzeba poznane aledwie przed kilku laty przecudowne nasze pieczary Bialskie, wane tak od rzeczki Białej na ziemi Spiskiej, przyłączonej 772 roku do Węgier.

Tu pod wysokimi szczytami Murania i Hawrania, znajdują się wspaniałe sale, tajemnicze pieczary, całe nawet bogate uby świątynie, zdobne w skamieniałe wodospady, zwieszające się świeczniki i wysmukłe kolumny. Nie trudno nawet lopotrzeć w grocie „tumem” zwanej ambony, ołtarza i w fałzistej szacie postaci zakonnika. Całość robi imponujące wrażenie.

Piękne opisy tej interesującej ze wszech miar miejscowości, podały „Wieczory” w 1889 roku, w artykule pod tytułem: Z listu Janka do „Kochanej Pani” przepisała Zofia Urbanowska, na które zwracamy uwagę czytelników. Ta sama autorka napisała później *Atlantę*, w której także opisała pieczary podobne, jako dziedzinę państwa królewicza Kryształka.

W zeszłym też roku odkryto w południowej Francji w departamencie Lozère przepyszną groto, zapełnioną przeszle 200 słupami stalagmitowemi, wysokości od 3 do 30 metrów. Uczony francuski p. Martel, który pierwszy ją zwiełził i nazwał groto Armada, utrzymuje, iż jest to najosobliwsze i jedyne dotychczas w swoim rodzaju zjawisko. Każda kolumna, składając się z pojedynczych pierścieni, przypomina kształtem wyniosłe pnie palmowe, tylko o wyrostkach znacznie więcej uwydatnionych. Ani ręka ludzka ani żadne katalizmy nie naruszyły dotychczas pięknej całości tego kamiennego „lasu dziewiczego”, którego widok ogólny przedstawia załączona dzisiaj rycina, będąca wiernem powtórzeniem fotografii, zdjętej na miejscu przy świetle magnezyowem.



Dwóch Gustawów.

Krwawą rzeką spłynął rynek w Sztokholmie 7 listopada 1520 r., zginęło tam czoło narodu, najznakomitsi przedstawiciele wszystkich stanów. Historia dzień ten nazwała

dniem Krwawej kąpieli, a sprawca jej, okrutny Chrystyan II król duński, święcił tryumfy zwycięstwa, zagarniając Szwecję pod swe panowanie.

Między zabitemi ofiarami, które zaległy rynek, znajdował się także Eryk Waza spokrewniony z rodziną panującą w Szwecyi. Poległ Eryk i młody jego zięć. W mieście zapanowało grobowe milczenie, nie było komu płakać nad niedolą kraju, bo boleść i strach zamknęły najodważniejsze usta.

Chrystyan nie dowierzał jednak pozornie uspokojonym Szwedom, zażądał zakładników, i kwiat młodzieży, synowie poległych, zawiezieni zostali do Danii, aby wśród nienawistnego sobie kraju żyć pod grozą ciągłego niebezpieczeństwa.

Śledzono tymczasem usposobienie Szwedów i najdrobniejszy wybryk, najlżejszy objaw ich działalności był karany śnercią zakładników.

Zakładnik taki mieszkał już oddawna w Danii, był nim Gustaw Waza, dzielny sercem i umysłem, bo odebrał staranne wychowanie a dopełnił je studjami w Oksfordzkim uniwersytecie.

W wojnie z Danią dał dowody wielkiego męstwa, więc też strzeżono go pilnie w zamku Kalloe, gdzie młodzieńca szarpały różnorodne uczucia, tęsknota za ojczyzną, niepokój o rodzinę, którą tam zostawił, żądza zemsty, pragnienie powrotu. Aż zmęczony żalem i bólem postanowił wyrwać się przemocy i wracać do kraju.

Przebrany za wieśniaka omylił czujność stróżów i uciekł z więzienia, dwa dni błąkał się po okolicy, głodny i obcy, aż nareszcie pod bramami miasta Tlensburga, spotkał na gościńcu handlarzy niemieckich, którzy pędzili woły w Danii zakupione.

Dostać się do Niemiec! a toż tam ocalenie. Miasta hanzeatyckie prowadziły często spory z Danią, może mu nie odmówią pomocy.

I tym to sposobem potomek królewskiej rodziny, wychowaniec wszechnicy oksfordzkiej, został poganiaczem bydła!

Ale prawdziwy majestat, to majestat wielkich serc, a takie nie uginają się w przeciwnościach. Nie ugiął się też Gustaw, wytrwał w służbie pastuszej i szczęśliwie przybył do Lubeki. Król Chrystyan wyszedł jednak zbiega, zażądał od hanzeatyckiego miasta wydania zakładnika. Zgromadźno radę mieszczan, obawa zemsty potężnego sąsiada zaczęła brać górę, Gustaw czuł się zgubionym, kiedy burmistrz Bröm przemówił za nim gorącemi słowami.

— Hańbą okrylibyśmy nasze miasto — wołał do zgromadzonych i głos szlachetnego człowieka znalazł echo w sercach panów rady.

Odrzucono zgodnie żądanie Chrystiana, jako uwłaczające godności wolnej Hanzy, a młodzieńca wyprawiono potajemnie do Sztokholmu, gdzie spodziewał się odpocząć wśród rodziny.

Ale na granicy Szwecyi spotkały go wieści sztokholmskie, o Krwawej kąpieli. Stracił w niej rodzinę, przyjaciół i mienie.

Długie lata drżała Szwecya pod potężną ręką Chrystiana, Gustaw był zbiegiem, na głowę jego nałożono cenę, więc serce zboleło po stracie tylu ukochanych mogło zwątpić i rozpaczać, ale potężny duch młodego Wazy nie dał się zwyciężyć nieszczęściu.

On znał lud Szwedzki i ufał mu, do tego ludu uciekł po ratunek dla siebie i kraju.

Na północ, na Stokach gór mieszkało dzielne plemię Dalekaryjezyków. Wśród pełnego prostoty śmiałego ludu schronił się Gustaw, tam chciał jedną stronnikiem dla sprawy Szwecyi. Bez grosza, opuszczony od wszystkich, błądził wygnaniec po lasach, głód zmusił go do pracy, i znów potomek królewski zdobywał chleb rękami, kopał niedź w podziemiach, ale nie przywykły do wilgoci zapadł na zdrowiu i musiał szukać innego zarobku.

Zgodził się więc w jakimś dworze dalekaryjskim do młocki. Bił cepami zboże, a jednocześnie, jak wpród wśród górników, tak potem między rolnikami, siał ziarna miłości do Szwecyi i myśl wyparcia Duńczyków. Podejrzevano

jednak, że kryje tajemnicę, a gdy stawił się przed właściciela wioski, ten wymówił mu robotę, bo poznał Gustawa. Widywał go dawniej w Upsali.

I znów wśród głodu i chłodu błakał się biedny zbieg w górach, szukając chwilowego schronienia u wiernych mu wieśniaków, ścigany jak zwierz w kniei, głód też zmusił go przyjąć raz jeszcze służbę we dworze, ale teraz trafił gorzej. Właściciel wioski Arund Peterson był kiedyś towarzyszem broni Gustawa. Waza mógł się spodziewać opieki od starego kolegi. Doznał jej też pozornie. Nikezemny Arund złudził wygnańca obietnicami, a tymczasem zawiadomił najbliższy posterunek duński, żądając pomocy w celu ujęcia zbiega. Wszystko więc byłoby stracone, Bóg jednak odwrócił grożące niebezpieczeństwo i odwrócił ręką szlachetnej kobiety.

Żona Arunda odgadła zamiary męża, dreszcz grozy wstrząsnął nią; zdrada, zdrada w jej rodzinie! Na to nie pozwoli nigdy. Dzielną i odważną, sama zaprzęgnęła małego konika i znanymi sobie drogami uwiozła Gustawa z pomiędzy nieprzyjaciół.

Uwiozła do życzliwego Gustawowi proboszcza, i zacny kapłan przechował zbiega w kościele, a potem powierzył opiece wieśniaka Nilsona, u którego wierności był pewien. Służył więc Waza za chłopskiego parobka, szerząc wśród ludu miłość Szwecyi, ale znaleźli go duńscy siepacze. Oddział wojska otoczył chatę; wszystko zdawało się stracone, gdy znów kobieta ocaliła wygnańca.

Żona Nilsona widząc nieprzyjaciół, schwyła rydel i zaczęła okładać nim Gustawa, wykrzykiwała przytem, że wypędzić musi darmożjada. Jakoż wypchnęła go z chaty, a dowódca oddziału, przybyły aresztować potomka królów, nie zwrócił uwagi na leniwego parobka.

Podstęp udał się znakomicie, lecz ośmielony powodzeniem Gustaw, postanowił udać się teraz do wsi Stättwihu, gdzie obiecano mu pomoc w walce z Danią. Pocziwy Nilson naładował furę słomą i ukrył w niej zbiega, ale na moście za wsią stała straż duńska, nie było innej drogi, podejrzowano, że tędy przekradać się będzie Waza.

— Co wiesz? — spytał żołnierz.

— Cóżby? słomę — odparł śmiało wieśniak, chociaż wiedział, że naraża życie.

Wtedy Duńczyk schwył włócznię i zaczął kłóć nią snopki a koląc, zranił ukrytego w słomie Gustawa.

Ale bohater szwedzki nie jęknął. Zniósł ból jak znosił trudy i głód. Był to dzień celu do którego dążył i dopiął celu. Wyparł Duńczyków z pomocą dzielnych Dalekaryjczyków, a powołany na tron głosem całego narodu, stał się założycielem dynastyi, która wyniosła Szwecyę do niebywałej dotąd potęgi. W jego też rodzinie urodził się drugi Gustaw, o nim opowiem później.

Z. Bukowiecka.

NA POLANCE

powieść

p. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

V.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy od strony Polanki ukazało się kilka panienek, zdążających ścieżką przez łąkę.

— Co to za wieś? — pytała Joasia, wskazując na dwór otoczony drzewami.

— To Osowce — odrzekła Zosia.

— A do kogo należą?

— Do państwa Osowieckich, ale oni prawie zawsze są nieobecni, bo pani jest bardzo wątłego zdrowia, bawią więc często zagranicą.

Przechodziły właśnie około wiejskiej chaty, na przyźbie siedziała stara kobieta i łatała stary fartuch. Na płocie za ogrodem chaty stała może trzyletnia dziewczynka, bosa i w podartej koszulinie, chudemi rączynami trzymała się kołka; jasne włosy, wisiały w około głowy starganemi kosmykami. Stojąc na najwyższej żerdzi płotu, raz zarazem wołała wyrażając wzrok przed siebie: Matulu! matulu!

— Czyje to dziecko? — zapytała Ludwinia, podchodząc do kobiety.

— A niczyje — odpowiedziała, nie podnosząc głowy od swojej roboty.

— Gdzież jego matka, której woła?

— A w ziemi.

— Umarła! a ona jej woła!

— Ot, głupie! powiedzieli mu, że matka poszła do miasta, ta wygląda jej i woła; już trzy dni jak ją pochowali.

— Czy ojca niema?

— Co ma mieć, umarł jeszcze zeszłej zimy.

— Któż się niem opiekuje? kto je żywi?

— A któż się ma opiekować? Łazi to tu, to tam, to się ta pożywi między ludźmi. Czem się tam opiekować? Matka była biedną komornicą nie zostawiła nawet szat chłedogich, żeby ją w nich pochować. Matysowa dała do trumny swoją nową chustkę. Krokoszowa, nie wymawiając, perkalo-wą koszulę.

Ludwinia zwróciła się do swoich towarzyszek.

— Czy słyszycie? — zawołała, blada od wzruszenia.

Czy słyszały? Boże drogi! Zosia zdjęła już dziecko z płotu, Stasia, przykucnąwszy do ziemi, głaskała je, przemawiała pieścizotliwie i sama była bliską płaczu, Joasia spoglądała na wszystko zdumionemi oczami, tylko Zenia skrzywiła się z niezadowoleniem, bo stojąc z daleka nie słyszała słów starej kobiety, ale rozmowa z nędzarką, przyszywającą łąty do starego ubrania i zajmowanie się dzieckiem w podartej koszulinie, wydawało jej się niewłaściwem.

— Moje nieszczęśliwe biedactwo! — mówiła Ludwinia, gładząc dziecko po roztarganej główce, a zwróciwszy się do wieśniaczki, rzekła:

— Słuchajcie, kobieto, my zabierzemy to dziecko; gdyby się kto o nie spytał, to powiedzcie, że jest na Polance, u państwa Skalskich, będziecie pamiętali?

— Ojej! co nie mam? albo to ja nie znam państwa Skalskich?

— Chce ci się jeść kochanko? — dopytywała się Zosia.

— Chce — odpowiedziało maleństwo.

— Chodź z nami, dostaniesz mleka i bułki.

Ludwinia ujęła maleństwo za rękę i prowadziła przy sobie. Bose było i wygłodniałe, a przez dziury koszuliny widać było wychudzone ciało.

— I pomyśleć, że są dzieci otoczone miłością matek i takie oto biedne, aż sine od głodu — szepnęła Ludwinia półgłosem do Zosi, a po jej bladej twarzyczce stoczyła się łąza srebrzysta.

Joasia szła milcząca obok Zosi, wpatrzona w twarz Ludwini.

Kiedy zbliżyły się do Polanki, spotkały Julinkę, która ujrawszy Ludwinę z małą dziewczynką, poczęła dopytywać co ona za jedna. Ludwinia, nie chcąc dziecka rozczulać, powiedziała jej tylko, że to biedna sierotka, którą przyprowadziły z sobą. Julinka popatrzyła przenikliwie na małą Kasię, tak sierotce było na imię, i odeszła do domu.

Dziewczynki tymczasem wprowadziły dziecko na ganek domu, w którym mieszkali rodzice Stasi, ponieważ ten był pierwszy po drodze, i żywo zakrzętnęły się aby je nakarmić. Mała jadła z chciwością podane sobie mleko i bułkę.

— Musimy ją ubrać jak najprędzej — zawołała Stasia.

— Ja na maszynie uszyję jej w mig z mojej przenoszonej spodniczki bluzkę z karczkiem. Prawda Ludwiniu, że dla takiej malutkiej najlepsza bluzka?

— Czekajcie! ja mam trzy łokcie kretonu, który został od mojej sukienki, zaraz go przyniosę — zawołała Zosia.

— Od naszej malutkiej Jania, ja będę przynieść koszulka nie jeden — odezwała się panna Berta, bona państwa Stojanowskich, która znalazła się także na ganku.

Tymczasem wróciła Julinka, i stanawszy przed Kasią, odśloniła zawinięty fartuszek, w którym była lalka i kilka innych zabawek.

— Masz maleńka — powiedziała — oddaję ci wszystkie moje zabawki, jesteś bardzo biedna, bo nie masz mamusi. Objęła dziecko za szyję, pocałowała w oba policzki i rozplakała się głośno.

W chwilę potem zebrało się na ganku kilka pań, które ściągnęła tutaj wiadomość o biednej dziewczynce, była też między niemi i pani Skalska.

Ale malutkiej nie było już tam; Stasia i Ludwinia uprowadziły ją, umyły, ubrały w koszulkę i sukienkę, które jedna z pań przysłała ze swej małej córeczki, a dziecina w tem nowym przebraniu, wyglądała bardzo wdzięcznie i miłutko.

— Bardzo to dobrze, moje drogie panienki, że nakarmiłyście i przyodzialiście sierotkę — odezwała się pani Skalska — ale powinnyście zastanowić się też nad sposobem zabezpieczenia jej opieki, aby nie została znów głodną i bez odzienia. Czyście o tem pomyśleli?

— Ja ją wezmę, proszę pani — odezwała się Ludwinia — i będę się nią opiekowała; takie maleństwo nie przyczyni dużo kłopotu, ani kosztu, prosilam już rodziców i zgodzili się na to.

— Nie, ty ją nie weźmiesz — zawołała Stasia, cała zarumieniona, tuląc do siebie małą. — Dla czego ja jej nie mam wziąć? Tak dobrze tyś ją znalazła na drodze jak i ja. Ja też prosiłam mamy i pozwoliła mi ją zabrać.

Teraz odezwała się Joasia cicho, ze spuszczonei oczami:

— Proszę pani, niech pani mnie pozwoli zaopiekować się tą maleńką, ojciec zrobi zawsze to, o co go proszę. Wezmę z sobą Kasię do Warszawy, ojciec pozwoli mi oddać ją na pensję, wykształci się, nawet grać będzie się uczyła.

Pani Skalska uśmiechnęła się łagodnie.

— Jak uważam, moje panienki, każda z was chciałaby się zaopiekować biednym, bezdomnym dzieckiem. Bardzo to ładnie a przede wszystkim poczciwie z waszej strony. A teraz posłuchajcie mnie, podam wam plan, który może zadowoloni wszystkie w waszych dobrych chęciach dla sierotki. Wszystkie macie jednakowe do niej prawo, więc czy nie lepiej będzie, żebyście zamiast jednej wszystkie cztery, wliczając w to i moją Zosię, zaopiekowały się Kasią?

— Jakże to zrobić, proszę pani? — zapytała Stasia.

— Oto tak: Kasia zostanie u nas na Polance, a wy będziecie pamiętały, żeby jej przysłać jakąś sukieneczkę, parę koszulek, trzewiczki, każda w miarę możliwości. Joasia chce ją oddać na pensję, nie byłoby to dla niej szczęściem, moje dziecko. Wyprowadzona ze swego stanu, wstydziłaby się go może kiedyś, a zarabiając na chleb jako nauczycielka, bo przy najlepszych chęciach majątku odpowiedniego dać byś jej nie mogła, może nie byłaby wcale szczęśliwszą, niż pracując w polu na swoim własnym kawałku ziemi.

— A kiedy ona nie ma własnego gruntu, proszę pani — zauważyła Stasia.

— O to właśnie chodzi, aby mieć mogła — odrzekła pani Skalska z uśmiechem. To co Joasia miałaby wydać na jej wykształcenie, niech złoży w jednej tylko cząstce do kasy oszczędności na jej imię. Zanim dziewczynka urośnie, sumka dojdzie do kilkudziesięciu rubli, to będzie jej posag, później, wśród swoich na wsi może wyjść za mąż i, wasza Kasia zostanie kiedyś panią i gospodynią na swojej własnej zagrodzie.

— Mnie się ten plan bardzo podoba — zawołała z żywością Stasia. — Kasia będzie naszym dzieckiem, a Zosia będzie główną nadzorczynią, prawda, proszę pani?

— Tak jest — odrzekła pani Skalska. — Dopóki jesteście na Polance, będziecie się wszystkie nią zajmowały i doglądały jej, a gdy powrócicie do miasta, Zosia będzie wam donosić o waszej wychowance.

— Będziemy ją uczyć, prawda?

— A naturalnie.

— A my co? — zawołał nagle Romuś, rozkładając rączki — a my co zrobimy dla biednej sierotki Kasi?

— A my co zrobimy dla niej? — powtórzył za nim Henryk, stając obok Ludwini.

— Ja chcę dać moje dwa grosze dla Kasi — zawołała mała Jania, wysuwając się z rąk panny Berty.

— Dobrze dzieci, zróbcie składkę dla biednej sierotki — zawołała mamusia Jani — każde da po parę groszy ze swoich oszczędności, to Kasia będzie miała na trzewiczki.

I młoda pani podała swojej malutkiej Jani tekturowe pudełeczko i kazała jej zbierać na trzewiczki dla sierotki.

Każdy, zaczawszy od starszych chłopców, wrzucił coś do tej skarbonki, każde z dzieci powracało zaczerwienione od szybkiego biegu, ściskając w rączce swój grosik, który przyniosło z domu. Pani Skalska poprowadziła Janię do Ludwini, aby ta przerachowała wobec wszystkich zawartość skarbonki; zebrało się kilka rubli.

— Trzewiczki będą kosztowały zaledwie kilka złotych — powiedziała pani Skalska, — resztę złożycie do kasy na imię sierotki, a wasza Kasia będzie już miała oszczędność na posag.

— A co! dobrze idzie naszej córeczce! — zawołała z radością Stasia i ucałowała malutką.

Zosia tymczasem naradzała się z Joasią, gdzieby dziecko pomieścić. Stało na tem, że sypiać będzie w ich pokoju. Dziwna rzecz! Joasię nie raziło to bynajmniej, że będzie mieć w bliskości siebie dziecko chłopskie, z zakłopotaniem nawet rzekła:

— Najgorzej, że nie mamy dla niej maleńkiego łóżeczka, żeby jej było wygodnie.

— Nic to — odrzekła Zosia — jakoś się temu zaradzi.

Rzeczywiście zaradziło się z łatwością. Znalazła się jakaś stara waliza bez wieka, którą panienki kazały wstawić do swego pokoju i wysłać sianem; mała Kasia miała pyszne łóżeczko, nie było nawet obawy, aby z niego wypadła, bo było niziutkie.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ile zjemy i wypijamy w ciągu naszego życia? (z ryc.) — Groty stalagmitowe (z ryc.) — Dwóch Gustawów przez Z. Bukowiecką. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Jakim ptakiem jest czapla? — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

Jakim ptakiem jest czapla?

Kazio siedział przy stoliku w pokoju cioci i czytał głośno ze swej książeczki:

— Czapla stara, jak to bywa.

Trochę ślepa, trochę krzywa.

Gdy już ryb łowić nie mogła...

— Ciociu — rzekł, przerywając sobie czytanie — czemu ta czapla była ślepa i krzywa?

— Bo była starą, a na starość wszystko co żyje na ziemi traci urodę i siły młodości.

— Aha rozumiem, to tak zupełnie, jak nasz stary Bryś w podwórzu, co już nie dosłyszcy i nie dowidzi, a chodzi bardzo powoli.

— Właśnie tak samo.

— A czapla, to taka odmiana bociana, prawda ciociu, bo tu na obrazku myślałem nawet zrazu, że to prawdziwie nasz bocian...

— Podobieństwo jest rzeczywiście między temi ptakami, ale też i różnice znajdują się nie małe, dla tego każdy stanowi oddzielny gatunek, należą wszakże do jednego wielkiego działu brodzących, które szukają żywności, chodząc czyli brodząc po płytkich wodach i bagnach.

— I ażeby im się sukienki nie zamaczały mają takie wysokie nogi — zauważył chłopiec.

— Słusznie się wyraziłeś. Nogi te ułatwiają im przebywanie w mokrych miejscach, a ponieważ są wysokie, niby szcudła, jakie ci wujcio do zabawy kupił, nadano im też nazwę *szcudłowatych*.

— Co ta czapla tu na obrazku trzyma w dziobie, proszę cioci?

— Przypatrz się tylko, a poznasz, że to rybka, którą sobie zapewne co dopiero ułowiła i zabiera się teraz do połknięcia jej. Bowiem najmilszem pożywieniem czapli są właśnie ryby, chociaż nie gardzi w potrzebie żabami i ślimakami. Okolice bogate w niezbyt głębokie wody, są ulubionem miejscem pobytu czapli. Większe są jednak od bociana, i potrzebują sporo rybek, aby głód zaspokoić, dla tego nie są wcale miłe rybakom którzy też tępią, je o ile mogą niszczą przedewszystkiem ich gniazda.

— A czy łatwo do takiego gniazda się dostać, czy jabym mógł je kiedy widzieć?

— Czaple są bardzo czujne i ostrożne ptaki, a przed człowiekiem chronią się jak mogą. W gęstych więc tylko lasach, w pobliżu wód, budują na najwyższych drzewach gniazda podobne do bocianich. Gdy jednak te ich krewniaki żyją pojedynczemi parami, zbierając się gromadnie tylko do odlotu, czaple tworzą w przyjaznych dla siebie okolicach nieraz liczne bardzo kolonie.

— A czy u nas żyją też czaple?

— Było ich dawniej znacznie więcej w naszym kraju, tępieno ich wszakże tak zawzięcie, że już coraz rzadziej spotkać je można. Lecz na Węgrzech w okolicach



bagnistych, dla ludzi trudno dostępnych, żyją jeszcze gromadnie, w licznych bardzo odmianach.

— Czy to jest ptak ładny cioteczko?

— Owszem, czapla słusznie zaliczaną bywa do ozdobięszych ptaków. Poczekaj, zaraz ci ją opiszę. Ciało jej długie na 90 centymetrów spoczywa na 15 centymetrów wysokich nogach brunatnego koloru. Długą swą szyję nosi zwykle zręcznie w tył wygiętą, a w locie przechyla głowę zupełnie na grzbiet.

Czapla siwa, najpospolitsza, ma sino-popielate upierzenie; szyja i spód ciała białe, podgardle czarno prążkowane. Na łukowato wygiętym jej grzbiecie i na podgardlu znajdują się długie rozpięchłe piórka z tyłu zaś głowy spuszcza się biała lekka kitka, którą ładnie w czubek nastawiać umie.

— Widzę, widzę tu ten czubek — zawołał Kazio, który w tym czasie uważnie przypatrywał się rycinie.

— Dawnemi czasy piórka te lubili u nas panowie przypinać do kołpaków, a dzisiejsza moda, ozdabia niemi kapelusze damskie.

— Ale cioteczka — mówiła, że czapli jest kilka gatunków.

— Tak właśnie, gdyż oprócz siwej są jeszcze tak zwane czaple purpurowe, z czerwono-brunatną szyją; czaple srebrzyste, i czaple czubate. Lecz najpiękniejszą ze wszystkich jest czapla jedwabista, którą okrywa białe, mięciuchne, jedwabiste upierzenie, uwydatniające zgrabną jej postać i ożywione ruchy ptaka.

— To bardzo ciekawe wszystko, co mi ciocia opowiada, więc pewnie i bajeczka zabawną będzie. Co ona robiła, moja cioteczko, ta czapla, jak już była starą?

— Zaraz się dowiesz, czytaj tylko uważnie!

I Kazio przeczytał cały wierszyk Krasickiego bardzo zadowolony, bo ubawił się szczerze nieudaną zdradą ptaka. A ciocia wytłomaczyła mu, jaką ta bajka daje nam ludziom naukę.

PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dalszy ciąg).

SCENA VI.

Ciż sami prócz Lorci.

STAŚ. Czy ona zawsze taka zabobonna?

PANI BRUDZESKA. Niestety! Gdybym wiedziała w jaki sposób te nedorzecznosci wybić jej z głowy!... *(po krótkim namyśle)*. Wiesz co Stasiu, musisz mi w tem dopomódz.

STAŚ. Jaknajchętniej babciu, powiedz co mam robić, a wszystko wykonam najwierniej.

PANI BRUDZESKA. Słuchajcie dzieci; musimy odegrać niby rolę Opatrzności w spełnieniu przesądnych wróżb Lorci; komedię tę powtórzymy razy kilka, a gdy dziewczyna pewną będzie tryumfu, zawstydzimy ją odkrywając prawdę.

STAŚ. A mnie w tej komedii jaką przeznaczają babunia rolę?

PANI BRUDZESKA. Musisz ją zręcznie wyciągać na zwierzenia.

AŃDZIA. Nam już ona nie dowierza bo wie, że ją z tego powodu wyśmiewamy.

STAŚ. Dobrze, rozumiem o co chodzi, proszę więc zostawić nas chwileczkę samych; a postaram się ją wy badać.

PANI BRUDZESKA. Skoro dowiesz się o jej życzeniach, powiesz je nam zaraz.

STAŚ. A toż niespodzianie wyszedłem na dyplomatę! Ale może mi się to nie najgorzej uda. *(Babcia i Ańdzia odchodzą)*.

SCENA VII.

STAŚ I LORCIA *(stawia lampę na stole)*.

LORCIA *(z ożywieniem radosnem)*. Wyobraź sobie Stasiu, co za szczęście mnie spotkało! Zapalając lampę spojrzalam w okno i zobaczyłam gwiazdę spadającą.

STAŚ. I nic więcej?

LORCIA. Zaraz w myśli postawiłam sobie życzenie, bo takie życzenia zawsze się spełniają.

STAŚ *(potakująco)*. To rzecz niezawodna. *(na stronie)*. Gdybym mógł się dowiedzieć, jakie było jej życzenie!

LORCIA. Taka rada jestem z tego. Gwiazdy spadające rzadko się widuje, a ja mam tyle pragnień nieziszczonych! Spójrzaj Stasiu, czy pod oczami nie leży mi rzęsa, jeśli się taki włoszek położy na dłoni i zdmuchnie go odrazu, można także być pewnym spełnienia życzeń.

STAŚ. Masz właśnie taką rzęsę na powiece, zaraz ci ją zdejmę.

LORCIA. Ale ty mi ją wyrwałeś, bo mnie zabolalo.

STAŚ. Przepraszam za moją niezręczność. A teraz podaj rękę.

LORCIA *(podaje rękę na którą Staś rzęsę składa, potem Lorcia namyśla się i dmucha)*. Otóż i drugie moje życzenie ziszczone będzie.

STAŚ I LORCIA *(razem)*. Z największą pewnością!

LORCIA *(uradowana)*. Wymówiliśmy ten sam wyraz jednocześnie, więc wspólnie wyrazić możemy pragnienia nasze. *(Trzymając się za ręce stoją czas jakiś zamysleni)*.

STAŚ. Zanim ja życzenie swoje wypowiem, chciałbym pierwej wiedzieć czego ty pragnąć możesz.

LORCIA. Oh! dużobym dla siebie rzeczy zmienić rada. Często n. p. zmuszona jestem coś robić, kiedy nie mam do tego ochoty.

STAŚ. Może nie chcesz chodzić na pensyę?

LORCIA. Przeciwnie, na pensyę chodzę chętnie, tylko lekcyi muzyki nie lubię. Nudzą mnie zwłaszcza gamy i ćwiczenia. Dziś też wolałabym z tobą się zabawić, a muszę się egzercytować, bo babunia w tym względzie bardzo wymagająca.

STAŚ *(na stronie)*. Dowiedziałem się zatem o jednym jej życzeniu. *(do Lorci)*. Skoro babcia tak obstaje przy twojej muzyce, to niema rady, musisz spełnić ten obowiązek. Ale przecież grać choćby godzinkę na fortepianie, to nie tak wielkie nieszczęście. Czy ci nie więcej nie dolega?

LORCIA. Gdzie tam! muszę znosić jeszcze inne przykrości. Nie cierpię szpinaku, a babcia dowodzi, że to zdrowa jarzyna i każe mi ją jeść koniecznie. Dziś za karę, że się wymawiałam od niej przy obiedzie, dadzą mi tę wstrętną potrawę na kolacyę. Czy to nie okropne?

STAŚ. Rozumie się, że jesteś godną politowania.

LORCIA. Pewną jestem, że na twoją intencyą coś smacznego do wieczery dodane będzie. Muszę już nawet nakryć do stołu *(dobywa z kredensu noże, widelce i nakrywa)*.

STAŚ *(na stronie)*. Chęć pozbycia się szpinaku stanowi drugie życzenie, ale jakby można dowiedzieć się o trzecim? *(do Lorci)*. Może ci pomódz Lorciu?

LORCIA. I owszem; postaw filiżanki na kredensie, tylko uważaj, żeby nie zbić której. Mam z podobnej porcelany serwis dla lalki, ale mi brak do całej zastawy półmisek i talerzy. W sklepie naprzeciwko, wystawili w oknie taki wymarzony przezemnie garnitur porcelanowy w niebieskie kwiatki. Cóż! kiedy do moich imienin jeszcze daleko!

STAŚ *(na stronie)*. Otóż mamy trzecie życzenie. *(do Lorci)*. Zauważyłem przecież, że znasz tyle sposobów

przywabiania pomyślnego losu. — Spróbuj, może ci się powiedzie zdobyć jakim szczęśliwym trafem wymarzony serwis.

LORCIA. Kiedy, babcia te moje sposoby nazywa przesadami i nie pozwala mi ich stosować; nawet podkowy na progę dla ciellie przybić nie dała. Ja wiem jednak i tobie Stasiu powiem, że na dobrą wróżbę szczęścia trzeba zrana wstawać z łózka prawą nogą, a jeśli kot przed nami przebiegnie, to należy się wykręcić na pięć trzy razy, aby złe od siebie odwrócić.

STAŚ. Co ty masz za zapas wiadomości w tym względzie.

LORCIA (z powagą). O! ja wiem więcej jeszcze! Kto chce od nieszczęścia się ochronić i złe z domu usunąć, musi koniecznie miotłę przed progiem położyć.

STAŚ. Zaraz się o tem przekonamy; zobaczmy czy miotła szczęście ci przyniesie, idę po nią do kuchni.

LORCIA. Tylko niech Zuzia tego nie spostrzeże.

STAŚ. Bądź spokojną; położymy miotłę przedzwiami pokoju, w sieni, tam ciemno, to nikt tego nie zauważy.

LORCIA. Jesteś dobrym braciszkiem, Stasiu, skoro chcesz dopomóc do spełnienia życzeń moich; idź, ja tu na ciebie poczekam.

SCENA VIII.

(Lorcja sama).

LORCIA. Teraz jestem pewną, że wszystko mi się powiedzie, niby to ze względu na przybycie Stasia, babcia zwolni mnie z muzyki i z odgrzewanego szpinaku; gdybym jeszcze dostała serwis porcelanowy, nie byłoby szczęśliwszej odemnie istoty. Żeby tylko Staś uwinął się z położeniem miotły! Słyszę czyjeś kroki!

(d. n.)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Horda szła tymczasem coraz dalej pałac i rabując. Ile ja okropnych widziałem wtenczas scen! Całe życie moje nie zapomnę tego! Doszliśmy wreszcie aż w te strony. Gdy ujrzałem rycerstwo, które prowadził ojciec panny Bożenny, modliłem się gorąco, by im Bóg dopomógł w pogromie tych rabusiów. Z bijącym sercem patrzyłem na walkę. Każdy świst kuli, każdy szczełk oręża był dla mnie jakoby zwiastunem dobrej wieści. Drżącą ręką przyciskałem do piersi poświęcany medalik, „O Matko Boża, pobłogosław, dopomóż mi!” powtarzałem z głębi duszy.

Najświętsza Paniienka dopomogła też mężnym obrońcom Swej chwały. W wielkim popłochu Tatarzy poszli w rozsypkę. I ja odzyskałem upragnioną wolność. Lecz Boże drogi, Ty widzisz serce moje, że chętniej byłbym już pozostał u dzikiego Tatarzyna, i znosił męczarnie wszelkie, niż to, że się stałem przyczyną śmierci tak cnotliwego pana, tak dzielnego rycerza!

Tu umilkł Stefan, a po bladej jego twarzy potoczyły się łzy serdecznego żalu, podczas, gdy niemniej wzruszona Ludmiła uściśnęła jego rękę szepcząc:

Snać już taka była wola Boga!

Rozłączenie.

Poznawszy smutne dzieje Stefana dziewczynki polubiły go więcej jeszcze. Odtąd stał się ich nieodstępnym towarzyszem, dzieląc z nimi zarówno pracę jak rozrywki.

Obie też panienki z dniem każdym więcej przywiązywały się do siebie, i już nie mogły sobie nawet wyobrazić, jakby zdołały żyć jedna bez drugiej. Tymczasem chwila rozłąki bliską już była.

Pod dozorem pana Ostrobrodzkiego, jeszcze przed zimą stanął w Kalinówce wykończony dworek drewniany, z ganeczkim o dwóch słupkach, z malowanymi okiennicami; na dziedzińcu folwarczym, otoczonym mocnym żerdziowym płotem, widniały również starannie pobudowane: spichlerzyk, stajnie i obory. W pośrodku okólnika nieopodal studni z wysokim żórawiem, wznosił się gołębnik dla wychowalców Ludmiły.

Kilka drzew ocalonych z pożaru ocieniało domek mieszkalny i odbudowana Kalinówka czyniła wrażenie miłej wiejskiej zagrody.

Pani Zalitowska dowiedziawszy się o ukończeniu budowli, w poczuciu swych obowiązków, które po śmierci męża zdwojonym ciężarem spadły na nią, bez zwłoki czasu postanowiła wrócić do swej małej posiadłości i oddać się pracy, w której dzielną pomocą miał być doświadczony włodarz, wychowany od małego chłopca na usługach dworskich.

Jakkolwiek przykrą była jej myśl rozłączenia się z zacnymi przyjaciółmi, którzy jej w chwilach ciężkiej żałoby i smutku wiele okazali serca, postanowiła wyjazd na najbliższą sobotę, jako na dzień poświęcony czci Najświętszej Maryi Panny, tej najlepszej opiekunki wdów i sierot.

— Jak odjedziecie — mówiła Bożenna ze łzami w oczach, będzie tak strasznie pusto u nas! Nie pojmuję, jak zdołam wyżyć bez ciebie, moja droga Ludmiło, tak mi było przyjemnie, tak dobrze z wami.

— A mnie jak ciężko pomyśleć o roztaniu! — wiesz najlepiej, jak cię kocham. Rodzona siostra nie mogłaby mi być droższą — mówiła sierota łkając,

— Czemuż przynajmniej wasza Kalinówka nie jest bliżej Ostrobrzegu. Dziesięć mil, to już daleka droga, a jabym chciała widywać się jak najczęściej z wami. Tobie przynajmniej Stefan będzie pomagał we wszystkim i dzielił każdą zabawę, on jest do was przywiązany — a mnie już tylko mój kochany, biały gołąbek zostanie na pociechę, — skarżyła się Bożenna.

— Jabym się też chętnie w ptaszka zamieniła, że-bym codzień mogła przyfrunąć do ciebie, a nagadawszy i nacieszywszy się razem znów do mojej mamy i Kalinówki powrócić.

— Powiedz mi tylko czy mię nigdy nie przestaniesz kochać, nie zapomnisz o mnie?... — pytała w swem serdecznym żalu Bożenna.

— Jak możesz nawet wątpić o tem — odparła z głębokim przekonaniem Ludka. Toż ojcowie nasi byli sobie całe życie serdecznymi przyjaciółmi, Nad łóżkiem mojego tatusia obok obrazu Matki Bożej wisiała szabla, dar twojego ojca, jako cenna pamiątka i zadatek przyjaźni ich młodziutkich jeszcze lat. A jak oni wiernymi sobie zostali, tak i nasza przyjaźń będzie niezmienną...

(d. c. n.)

Odpowiedź na pytanie w N-rze 5.

(Śmierć Mieczysława I-go któremu kraj nasz zawdzięcza zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej, za sprawą żony jego Dąbrówki córki króla czeskiego.
Pochowany w Poznaniu.

ZAGADKA.

Pochodzenie me jest greckie,
Znaczenie bardzo zdradzieckie.
Kiedy stanę za drugimi,
Nabieram wartości z niemi.
Zaś samego wszyscey w świecie
Nic nie cenią, wy to wiecie.

REBUSIK.

ułożył Janek z pod Wawelu.

Jest to	Wiara
	Nadzieja i Miłość
m a ć	zęby język
m a ć	
m a ć	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go

Szarady: Lub — lin.

Arytmogryfu:

- 1) Jassy. 2) Arpad. 3) Neapol. 4) Dyana. 5) Łabędź.
6) Upsala. 7) Gandawa. 8) Orinoko. 9) Szubert. 10) Zante.
Jan Długosz.

Kwadratu magicznego:

L a m a
A m u r
M u z a
A r a s

Skrzynka do listów.

Wróżbiarce Szczęścia. Ciężka twoja choroba zmartwiła nas bardzo, ale pocieszyła wiadomość, że dzięki Bogu do zdrowia już powracasz. W ostatnim liście nie było wzmianki o dalszem wysy-

łaniu Wieczorów, więc teraz zaległe od początku roku numera wysyłamy, wraz z serdecznem życzeniem, byś zdrowa zupełnie w jak najkrótszym czasie sama nam o tem donieść zechciała.

Lunusiowi F. za przyslaną ofiarę i uzbierane gałganki dziękujemy słowami: Bóg zapłać za pamięć o biednych i chorych.

Z prawdziwą przyjemnością zaliczamy do grona miłych korespondentek naszych **Przepiórkę Widzewską**. Żądane dodatki wysyłamy, jak również i **Marusi K.**, która pisze tak porządnie, iż mamy nadzieję częściej podobne liściki odbierać.

Żądanie **Izy S.** spełnione, rozwiązanie zadań dobre, niteczkę **Aryadny** przejrzymy.

Słoń z Nubii wielką musi mieć łatwość w układaniu zadań, których znowu kilka otrzymaliśmy. Jeżeli nie wszystkie to spodziewamy się, że większość będzie się nadawała do druku. Rozwiązanie dobre.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: **Kryształek z Petersburga**, **Tadzio T.**, **Janek Z.** z pod **Wawelu**, **Słoń z Nubii**, który przysłał też łamigłówki własnego układu, jak również **Mieczysław U.**, **Gabryel G.**, **Tadzio T.**, **Brzoza**, **Zosia** i **Lucio**. **Winia**. **Muszka** i **Wrony konik**, **Kalina W.** i **Leon S.** niteczkę **Aryadny**.

Dlaczego to **Janek Z. z pod Wawelu** tak długo namyślał się przed napisaniem do mnie, jako czteroletni czytelnik **Wieczorów**, mogłeś się niejednokrotnie przekonać, że na wszystkie liściki chętnie odpisuję, zadania rozwiązałeś dobrze rebusik twój złożyłam w redakcyi.

Słoń z Nubii może przysłać łamigłóvkę o której wspomina w ostatnim liście, jeżeli tylko dowcipnie będzie ułożona i dobrze pomyślana może się przydać na dzień oznaczony.

Janince S. w Szawłach. Liścik porządnie napisany, miły i serdeczny leży przedemną, tylko dla czego poprzedziło go tak długie wahanie? Czy wystawiałaś sobie, że ta skromna **Jaskółka**, całem sercem oddana miłym swym korespondentom za których przyjaciółkę choć osobiście nieznaną zawsze poczytywałaby się chciała, to jakieś ptaszę drapieżne? Zadziwił się pewnie gdy ci powiem, że cię znam troszeczkę. Czyżby ta **Jaskółka** z **Warszawy** i w nasze strony zajrzała? zapytasz. Może, bo jakże inaczej wiedziećbym mogła, że jesteś dobrą osobką, uczysz się pilnie, zdolności **Pan Bóg** ci użyczył, czytywać lubisz, tylko (bo gdzież się to brzydkie słowo nie wkradnie) roztrzepaną jesteś bardzo. Nie wielka to wada — powiedzą niejedni, lecz przykre za sobą pociąga następstwa i radzę ci — a radzę serdecznie, byś się jej pozbyć starała. Weź przykład ze starszego brata, a gdy się ty poprawisz to i **Tadzio** zechce wstępować w te ślady.

Za te parę słów uwagi nie gniewaj się na mnie, pamiętaj, że mi je tylko serdeczna życzliwość podyktowała i niech cię one nie zniechęcą do dalszych liścików, których z niecierpliwością wyglądać będę. Zaginione numera wysłano.

Na zapytanie **Sroczi Z. N. z Krakowa** odpowiadam sama, że bynajmniej starą osobą nie jestem, zapewne mam lat kilka więcej od ciebie, ale prenumeratory **Wieczorów** nie wykluczili mnie jeszcze ze swego grona i jeżeli nie zupełnie za rówieśnicę to za starszą przyjaciółkę uważają mnie dotąd.

Brzoza od trzech lat czytując **Wieczory**, zauważyła pewno, iż niejednokrotnie prosiłam czytelników, by mnie nie nazywali szanowną panią, raz jeszcze ponawiam tę prośbę i spodziewam się, że w przyszłym liściku tytułu tego nie znajdzie. Zaginione dodatki posyłam, stałym prenumeratom za takie drobnostki redakcyi nie liczy. Konkurs na wypracowanie ogłosimy wkrótce.

Wini z Łoszkowiec nie dziwię się, że mając tyle rozrywek zadań rozwiązywać nie miała czasu, za ciekawy list bardzo dziękuję i następnego oczekiwać będę.

Helence S. wysłano zaraz **Wieczory** od początku roku i mam nadzieję że je już odebrała.

Jaskółka